

“Zza Światów”

Hierarchia w świecie umarłych była dość dziwna. Można by pomyśleć, że cały ten koncept nie ma sensu, w końcu po śmierci każdy miał być równy. Ludzi od wieków karmiono wiarą w to, że w chwili zgonu, lub czasem trochę później, każdego czeka ostateczny sąd. Bez żadnych wyjątków, każdy zmarły miał być indywidualnie osądzony i, w zależności od wyniku oceny jego żywota, potępiony lub zbawiony. Skoro od zarania dziejów wierzone w to z takim przekonaniem, to znaczy, że coś w tym jest, prawda? Prawda? Otóż nie. Okazuje się, że wszystko jest zmyślane, a cała groteska tej sytuacji polega na tym, że ten, kto wymyślił te brednie, znajdował się tu razem z nami. Znajdował - słowo klucz, ponieważ, z jakiegoś, bliżej nieznanego powodu, nasz „Księżę” zniknął. Otóż biblijnego Mesjasza, islamskiego proroka, uosobienia wartości ateistycznego odłamu satanizmu, czy nawet bahaickiego przejawu boskości, nikt od dawna nie widział. Gdzie zniknął? Nie wiadomo. Po co? Również nic.

Ale jak to się w ogóle stało, że w zaświatach funkcjonuje hierarchia? Czemu nie jesteśmy równi? Czy szufladkują nas według wartości naszego życia? Naszych uczynków, dobrych lub złych? A może, tak jak na Ziemi, liczy się to, gdzie i jak się urodziłeś? Nie zamierzam nikogo trzymać w niepewności, jedyne co się tutaj liczy i może nadać ci jakąkolwiek wartość jest twoja śmierć. Cała jej istota, sposób, w jaki opuszczasz ziemski padół determinuje na wieczność twoje życie pozagrobowe.

O, ironio, jedną z najwyższych klas są tu samobójcy, tak przecież potępiani przez społeczeństwo. No, może nie przez Rzymian, jednak tylko tych starożytnych. Oni uważali targnięcie się na swoje życie za coś honorowego, pozwalającego uniknąć hańby. Przecież nawet Seneka, stary rzymski filozof skorzystał z przywileju samobójstwa. Z tego, co wiem, też tu był. Choć osobiście nigdy go nie widziałam, przynajmniej na żywo lub raczej „na martwo”.

Z bardziej współczesnych samobójców pamiętam jednego. Odszedł około ośmiu lat po mnie. Osamu Dazai, wariat jakich mało. Z całym szacunkiem, oczywiście. Niezrozumiany przez społeczeństwo pisarz, usiłujący się zabić nie raz i nie sam. Znany ze swoich dzieł oraz niesławnego utonięcia wraz z kochanką. Nie słyszałam o nim, zanim tu trafił, ale podobno na Ziemi wciąż się o nim mówi. Szczerze, nie mam pojęcia, co się dzieje na powierzchni, więc się na ten temat nie wypowiem. Zresztą Japończycy wykazywali dość duże zainteresowanie samobójstwem. W ich kraju znajduje się przecież las - Aokigahara, który słynie z popularności wśród wariatów.

Mieliśmy już samobójców, więc pora na resztę. Do całej tej pseudo hierarchii społecznej jest przypisana pewna ideologia, która nadaje jej potencjalny sens. Potencjalny, ponieważ nie uważam, by był to najlepszy sposób na podzielenie umarłaków.

Otóż, przyjmując założenie, że liczy się tylko twoja śmierć, nie przeszłe życie, okazuje się, że mogłeś być łotrem, z listą przestępstw, których by się sam diabeł wstydził, a i tak czekało cię godne życie po śmierci. Jestem szczególnie uprzedzona do tej koncepcji, bo to ja znalazłam się w jednej klasie społecznej wraz z większością okrutnych morderców i gwałcicieli, którzy, nawiasem mówiąc, nie znajdowali się tak często w najniższej szufladce. Większość z nich, tych których poddano egzekucji, znajdowało się dokładnie pośrodku tej całej piramidy. Gwałtowna śmierć. Nie ma znaczenia, czy cię powieszono, ścięto, czy może wpadłeś pod powóz konny. Umarłeś nagle, a kimś to na pewno wstrząsnęło. I tylko to się liczy.

Nad nami, oprócz samobójców znajdowały się jeszcze znane osobistości, poległe z powodu jakiejś idei. Jednak musiały być znane, ich śmierć powinna mieć jakiś wpływ. Ci anonimowi, na przykład żołnierze oddający życie za ojczyznę, którzy mimo, że poświęcili to, co najcenniejsze w imię wyższego celu, znajdowali się poniżej mojej grupy społecznej.

Pod anonimowymi, ale przydatnymi, nieboszczykami znajdowali się już tylko ludzie, którzy umarli naturalnie, ze starości czy w wyniku choroby. Mimo iż niczym nikomu nie zawinili, znajdowali się na samym dole hierarchii, tylko dlatego, że ich śmierć niczego nie udowodniła. Nikomu nie utarli nosa, umierając, tylko odeszli, w większości przypadków spokojnie, bez większego echa. Pech chciał, że właśnie ten rozgłos był tym, czego chciano w zaświatach.

Nie zrozum mnie źle; umarli z niższych klas nie byli wcale torturowani czy tępieni. Wszyscy tutaj żyli względnie na poziomie. Parafrazując Orwella: Wszyscy jesteśmy tu równi, ale niektórzy są równiejsi. Zazwyczaj nikt nie wysuwał się przed szereg, każdemu pasował obecny stan rzeczy. Ewentualne wyjątki, jeśli się zdarzały, to prawdopodobnie banda niezadowolonych, lecz nieznanych światu nieboszczyków, którzy znaleźli się tu przez swoje wydumane ideały. Nie powinnam się wypowiadać za innych, nie jestem przecież obiektywna, ale czy ktokolwiek taki jest? Świat jest niesprawiedliwy, widać to w życiu ziemskim, jak i również tym pozagrobowym.

Tak więc szłam, przytłoczona nieidealnym światem, i może to moja wina, może i nie, patrzyłam przed siebie. Ale ludzie naprzeciw też powinni zwracać uwagę na to, co się dzieje wokół. Każdy czasem się zaduma i kurczowo przytrzyma się myśli, całkowicie ignorując to, co się dzieje wokół nas. Ale cholera jasna! Moje zamyślenie nie daje nikomu prawa na wpadanie na mnie! Kim ja jestem, żeby tak mnie traktować?!

— Dobrze się pani czuje? — Usłyszałam zmartwiony głos jakiegoś kompletnie obcego mi mężczyzny.

Podniosłam wzrok na dużo starszego (o ile można używać takich terminów w zaświatach) człowieka. Przyjęłam wyciągniętą dłoń i się podniosłam, mierząc go wzrokiem od stóp do głów. Był przeciętnego wzrostu, z siwymi i rzadkimi włosami. Zaczesał je na bok, chyba starając się zasłonić łysinę, co mu jednak szło dość opornie. Ubrany w spłowiały surdut, który kiedyś pewnie elegancki i czarny, teraz świecił nieudolnie zaszytymi rozdarciami.

— Wszystko w porządku? — powtórzył, marszcząc brwi. Prychając cicho pod nosem, starałam się otrząść z kurzu. Wtedy usłyszałam coś, co wytrąciło mnie do reszty z równowagi.

— Nastka? — Zapytał z wahaniem, jakby chciał ostrożnie zbadać nieznany grunt. Zamarłam, wpatrując się w niego, wściekła.

Anastazja. Anastazja Niesieucka. Nigdy Nastka. Nienawidziłam zdrobnień, nie byłam słaba. Chciałam, by ludzie postrzegali mnie najlepiej, jak mogli. By wiedzieli, że jestem silna. Była tylko jedna osoba, która przed laty przejrzała wszystkie moje maski. Tylko jemu na to pozwoliłam, ponieważ byłam w stanie poświęcić swoją dumę, żebyśmy byli szczęśliwi. A jemu zależało na tym, bym nie musiała niczego udawać.

Poznaliśmy się chwilę przed wybuchem drugiej wojny. Jeszcze tego samego roku, w styczniu. Nie mieliśmy za dużo czasu. W październiku przymusowo poszedł do wojska, a ja zostałam w Warszawie. Już się więcej nie zobaczyliśmy, nie przetrwałam zimy. W grudniu mój dom niemalże dosłownie wyleciał

w powietrze. Na szczęście nie było mnie w nim wtedy. I tak pożegnałam się z życiem niecały miesiąc później, może i nawet boleśniej, ale przynajmniej nie była to eksplozja.

Kiedy tu trafiłam, byłam wdzięczna za to, jak zmarłam. Może i nie jestem najwyżej w hierarchii, ale lepsze to, niż zazdrosne i pogardliwe spojrzenia ludzi, którzy nie odeszli z ziemi z przyczyn naturalnych. Tak, hipotermia nie jest aż tak zła, jeśli bierze się pod uwagę inne, możliwe przyczyny zgonu. Pamiętałam to jak przez mgłę, mimo że były to ostatnie chwile mojego życia. Leżałam w piwnicy, wokół mnie ta paskudna cisza. Tak okropna, że moje niejasne myśli brzmiały głośniej od bomb spadających na Warszawę. Powoli otulający, niby bezpieczne ramiona matki, skostniałe ciało mróz, z każdą chwilą wdzierający się coraz głębiej. Próbowalam się ruszyć, jakkolwiek rozgrzać. Mimo że kończyny odmawiały posłuszeństwa, a myśli stopniowo stawały się coraz bardziej niejasne i zagmatwane, czułam się coraz lepiej, ogarniało mnie dziwne ciepło. Potem nadeszła senność. Otuliła mnie szczelnie, a ja się oddałam. Kamienna podłoga na której leżałam nagle wydała się miękka, a ja czułam tylko nieodpartą potrzebę snu. Przecież już mi ciepło, więc na pewno jest w porządku. Minęło kilka minut, oddech zwolnił, puls zanikł, a serce przestało bić.

Anastazja Niesiebucka, lat dwadzieścia trzy. Jedna z milionów ofiar wojny, która pochłonęła tylu Polaków po dwudziestu niepewnych, złudnych latach pokoju. Ale to nieważne. Każdy kiedyś umrze i nie można się nad sobą użalać. Byłam wdzięczna, że nie czułam za dużo bólu, a nagłość zgonu zapewniła mi tutaj wysokie miejsce. Jedyne, czym powinnam się na ten moment zająć, to nie wspomnienia, ale ten stary wariat, który jakimś cudem wiedział, kim jestem.

— Jak mnie pan nazwał? — Zapytałam, starając się opanować drżenie zarówno dłoni, jak i głosu. Nie byłam tu sławna, ot zwykła kobieta jakich mnóstwo. Nie szukałam także przyjaciół, musiałam się pozbierać. Nie miałam więc pojęcia, skąd mnie znał. I dlaczego, do jasnej cholery, mówił do mnie, w końcu obcej mu kobiety zdrobniałym przezwiskiem.

— Przepraszam. Anastazja, tak? Ta od Janka? Żołnierza — Doprecyzował, skruszony.

A ja stałam w coraz większym szoku. Znał Janka, spotkał go. Więc w zależności od tego, jak dawno tu trafił, będzie wiedział, co u niego i czy żyje, czy zmarł.

— Janka? Znał go pan? Proszę mi wszystko powiedzieć! — Niemalże krzyknęłam — Jak on się czuje? Dawno go pan widział? Czy wszystko u niego dobrze? — Zasypywałam mężczyznę pytaniami. A on tylko cicho się zaśmiał z nieskrywanym smutkiem.

— Jeszcze przed końcem wojny to ja identyfikowałem jego ciało. Nikt inny nie mógł go rozpoznać, przywieźli go bez nieśmiertelnika. Prawdopodobnie się wykrwawił po tym, jak postrzelono go w brzuch. Miał w kieszeni list i twoje zdjęcie. Wiedziałem, kim jesteś, nieraz o tobie opowiadał ...

Urwał, gdy zobaczył, w jakim szoku jestem. Szeroko otworzyłam usta i oczy, nie przejmując się tym, jak głupio w tym momencie wyglądam. (A tak swoją drogą... czy zmarli przejmują się własnym wyglądem). Kompletnie nie wiedziałam, co odpowiedzieć i co zrobić. Zgarbiłam się i z przerażoną miną starałam się nie upaść.

— Ale... W jaki sposób? Przecież to nie możliwe, znalazłby mnie tutaj.. Odkąd wyjechał, nie widzieliśmy się ani razu, jednak kochał mnie, wiem, że mnie kochał!

Słyszając to, starszy zaśmiał się, szczerze rozbawiony moim niespodziewanym wybuchem.

— Skarbie, on nosił krzyż na szyi. Jego tu nie było i nie będzie — Wyjaśnił spokojnie, mimo tego, że wciąż uśmiechał się pod nosem.

Nie wiedziałam, co mu na to odpowiedzieć, nic nie rozumiałam. Owszem, Janek wierzył w Boga, nie to co ja. To była jedna z tych większych różnic pomiędzy nami. Wychowany na romantycznej poezji, wierzył, że cierpienie ma głębszy sens, a Bóg nam to wynagrodzi. To mu dawało wolę do walki, a także odwagę, by nie zdezerterować i bić się o ojczyznę. Ja natomiast, kompletnie nie rozumiałam jego toku myślenia. W końcu, gdyby istniał ten miłosierny, chrześcijański Bóg, nie byłoby całej tej farsy. Nikt by nie ginął z powodu widzimisię jakiś szaleńców. Bóg by przecież takich ukarał, prawda? Wszechmocny, dobry i sprawiedliwy musiałby coś uczynić? Od dziecka byłam ateistką. Kiedyś próbowałam przekonać się do wiary, jednak nie potrafiłam, to po prostu nie dla mnie. Lubiłam kościoły, były przepiękne. Najbardziej te barokowe, bogato zdobione, lecz mimo ich uroku dla mnie to wciąż tylko budynki bez duszy.

— Jak to? To nic nie znaczy, przecież tu jest pełno katolików! — Warknęłam, wręcz mordując go wzrokiem.

— Tak? A ty? Jak ktoś się ciebie zapyta, to przyznasz, że jesteś ateistką? — Zapytał, dobrze przeczuwając, że mnie tym zapędzi w kozi róg.

Za życia nie przyznawałam się do tego. Może i ateizm był coraz bardziej popularny, ale to wciąż nieświecki kraj. Można złapać dużo krzywych spojrzeń. A mnie przecież zależało na opinii.

— Skąd pan to może wiedzieć? Może uważał się pan za bliskiego Jankowi, ale nie wierzę, żeby ludziom z oddziału opowiadał o religii ukochanej.

— Słonko, tu są sami ateści. Rozejrzyj się wokół. Oni albo się nie przyznają, tak jak ty, albo ich to już nie obchodzi. — Zaśmiał się gorzko — To miejsce nie jest jedynym, do którego trafiają zmarli. Sądzę, że liczy się tylko wiara, ale pewności nie mam. Mnie to obojętne, nie widzę zbyt wielu możliwości, nigdy nie zagłębiałem się w religię. Może dlatego tu jestem. — Wzruszył ramionami.

Podczas tego monologu, zebrałam się do kupy. Starałam się go słuchać, jednak przytłoczył mnie nadmiar informacji. Denerwowało mnie to, że ten obcy mi mężczyzna najpierw rujnował mi dzień, a potem próbował prawić morały i burzyć cały mój światopogląd. To chyba nie czas na filozoficzne czy religijne dysputy.

— Nie chciałabym pana urazić, jednak całym sercem żałuję, że po śmierci nie ma klinik dla psychicznie chorych, bo pan z całą pewnością zalicza się do wariatów! — Wysyczałam, gotowa się obrócić i odejść. Odpowiedział mi gromki śmiech.

— Ty jesteś naprawdę zamknięta na wszystko, czego nie widzisz. Podać ci przykład? Na pewno słyszałaś o Jezusie, może i nawet go kiedyś widziałaś. Dość często się tutaj pojawiał, mimo że chodzi pogłoska, że nienawidzi tego miejsca, uważa, że nie po to cierpiał. Kiedy znika, co sobie myślisz? Że siedzi otoczony bogactwem i pałacami? Że jest znieczulony na brak wiary ludzi wokół? Ma inny dom, jest tutaj wyłącznie, by pomóc nam uwierzyć. Bo może. I dlatego jest nas tu coraz mniej. A najlepsze, że... — Zaczynał kolejny wywód, ale wściekła zaczęłam oddalać się od tego kaznodziei. Zupełnie nie

rozumiałam tego, co się działo. Nie chciałam mu wierzyć, ale jednak udowodnił, że znał Janka i wiedział, kim jestem. Musiałam to przemyśleć, z dala od innych ludzi. Kiedy już miałam skręcać, usłyszałam jak na odchodne coś do mnie krzyczy.

— Wierzysz już w Boga, Anastazjo? — Gdy się odwróciłam ujrzałam twarz znaną mi z kościelnych obrazów.

Patrzył na mnie biblijny Mesjasz. Jezus Chrystus.